Zaczarowany Dom pod Wiewiórką

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Maria Kuncewiczowa, fot. Danuta Rago.

…Jerzy, jak mam sobie wyobrażać tę przestrzeń czy ten żywioł, czy ten byt, gdzie ty teraz jesteś? Patrzę na to samo, na co kilka miesięcy temu i przez sześćdziesiąt lat przedtem

> patrzyliśmy razem i widzę co innego. Wisła płynie i niebo się smuży obłokami, promieniami, wspomnieniami, ale tylko po wierzchu… Szeptałam czułe wyrazy z żarliwością, jakiej skąpiłam, kiedy byłam młoda. Teraz omdlewam z żalu: dlaczego? Dlaczego szczędziłam tak długo tej mowy erotycznej, jedynej prawdy serca? Zaklinałam ciebie: Usłysz! Słuchaj, jak ja ciebie kocham, jak pragnę, jak dziękuję!… Otóż i prawda ostateczna: na rzecz najważniejszą zawsze czasu zabraknie…

Maria Kuncewiczowa*: Listy do Jerzego*

Drewniany dom projektu Karola Sicińskiego stoi na wzgórzu, na końcu Wąwozu Małachowskiego. Ogrodzony gęstym parkanem drzew i krzewów, jest prawie niewidoczny. Skrzypnięcie furtki, długa aleja, kwiaty przed tarasem. Czuję zapach róż. Nie zdążyłam zapukać. Maria Kuncewiczowa zobaczyła mnie przez okno.

– Ale po coż te kwiaty – uśmiecha się pisarka, patrząc na ogromny bukiet herbacianych pąków.

A więc to jest dom, który znam doskonale z *Kluczy*, *Fantomów*,

Natury. To nad nim świecą *dwa księżyce*. To tu w ciszy, zieleni i w zaczarowanym kole artystycznych zdarzeń powstają myśli, słowa, zdania. Z niemego odrętwienia i chęci zapamiętania wszystkiego od razu i na zapas wyrywa mnie ciepły głos. Autorka *Dwóch księżyców* prowadzi przez sień, pokój z kominkiem, salonik z widokiem na taras. I opowiada. O każdym sprzęcie, o pamiątkach i ich historii. Ile razy i ile osób musiało już to słyszeć. A jednak, mam wrażenie, że pisarka mówi po raz pierwszy i to tylko do mnie.

Ciepła, uśmiechnięta gospodyni, w długiej czarnej spódnicy, białej bluzce zakończonej żabotem z wpiętą starą broszą-kameą, z włosami swobodnie upiętymi w górze, zwraca moją uwagę na wszystko od początku. Powoli wprowadza mnie w klimat swojego świata, który budowała ponad 90 lat, złożonego z tak wielu elementów, przeżyć, wspomnień, uczuć. Świata, z którego większość bliskich już odeszła. Do męża Jerzego pisze codziennie listy. Na syna Witolda, który wybrał wolność za Oceanem w odległej Ameryce, czeka co roku. A wnuk Adam… *ogromny, brodaty, łagodny i obcy* nigdy tu nie przyjedzie. Dom żyje swoim życiem, wypełniony spełnionymi i niespełnionymi marzeniami i myślą o uciekającym czasie, który trzeba do końca wykorzystać.

We wnętrzu moją uwagę zwracają sosnowe bale. Równo poukładane stanowią zasadniczą konstrukcję ścian, a podwieszone, są ozdobą na wzór staropolski. W największym

pokoju sufit przypomina wspaniałą kasetonową mozaikę, a w holu zaprojektowano strop w desenie. Posadzkę ułożono z czarnych, wiślanych dębów. Drzewa te przez wiele lat leżały zatopione w wodzie, dzięki czemu uzyskały dużą twardość, odporność i czarny kolor. Wyglądają jak heban. Nad kominkiem wisi świecznik. Duży, czarny, surowy, rozłożysty, a w nim rząd świec.

– To meksykański – mówi pisarka, idąc w ślad za moim wzrokiem. – A w kominku już od dawna się nie pali, bo zamieszkały tu ptaki.

Z prawej strony kominka wąskie schody, ozdobione giętą poręczą, prowadzą do pokoi na piętrze. Z kutego metalu wyłania się wiewiórka rozsypująca orzechy, układające się w inicjały M.J.W.

– To są inicjały moje, męża i syna. Dom ten miał się kiedyś nazywać „Domem pod Wiewiórką”.

Środek holu zdobi czarna, ciężka, metalowa latarnia.

– Wykonał ją świetny artysta, pan Sobko z Kazimierza. To jedyny przedmiot, który ocalał z rzeczy przedwojennych. Było tu przecież spustoszenie. Niemcy wynieśli wszystkie książki, obrazy, meble i spalili.

…w przededniu całopalenia Polski polubiłam rzeczy – przypomina mi się fragment „Fantomów” – Że to stanie tu. A tutaj potrzebne jest tamto. Czy coś dobrze wisi, czy się zamyka, czy błyszczy, nie skrzypi, nie kuleje. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie – belki wzdychały, roniły żywicę, lasowało się wapno, wyły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką… Dom gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była. (…) Siciński zbudował go jak pudełko samowystraczalne w ramach swojej architektury, nie wymagającej innych ozdób niż światło i harmonia. Wszechstronnie oszklony, wewnątrz złoty i kremowy, pachnący berwionami, rzeczy zbyteczne odrzucał. Za to rzeczy, które przyjął stawały się podwójnie własne: nasze i domu.

Willa pod Wiewiórką, fot. Mateusz Stachyra, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

A potem

> …patrzyłam na dom, w którym po 10 latach przygotowań mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie odkąd prapradziad zaprzepaścił swoją Psią Wólkę wstępując do Legionów we Włoszech. Ale nie było czasu na podejrzenia, zaraz odjechaliśmy.

Zaskrzypiała „hebanowa” podłoga i znalazłam się w widnym pokoju z widokiem na las. Ściany pełne obrazów. Kilimy, książki. Pod oknem duże biurko, a na nim fotografia papieża i rozrzucone kolorowe albumy, m.in. ze zbiorami na Wawelu.

– To jest biurko Wyczółkowskiego – objaśnia gospodyni, otaczając mnie uśmiechem – Meble kupowaliśmy z mężem po wojnie. Większość z nich pochodzi z antykwariatu w Radomiu. Na podłodze położyliśmy wschodnie kilimy. A tu w rogu stoi nasza biblioteczka, z książkami moimi, męża i bratanka, Jana Józefa Szczepańskiego. A o… tu… to jedna z ostatnich fotografii męża…

Rysunki, obrazy. To Londyn po zbombardowaniu, a to plakat do *„Cudzoziemki”* . Wszystko piękne, wszystko ma jakąś treść, wiąże się ze wspomnieniami, żyje swoim życiem i ma duszę. – A to są projekty kostiumów wykonane przez Irenę Lorentowicz –

mówi Maria Kuncewiczowa – To ona projektowała kostiumy i scenografię do „Harnasi” Szymanowskiego w Paryżu.

Irena Lorentowicz, serdeczna przyjaciółka Marii Kuncewiczowej *…dziewczyna w wielkim kapeluszu słomianym, w sukni białej, dziewczyna z książki o przygodzie, dziewczyna-obraz* wiązała się nierozerwalnie z Kazimierzem, „cygańskim życiem” i artystyczną przygodą. Kazimierska malarka, wtopiona w nadwiślański pejzaż stanowiła jego stały element. Zaprowadziła kiedyś pisarkę po *darniowych schodkach na wzgórze, gdzie w kwitnącym sadzie stała mała chatka i powiedziała: – Tu powinnaś zamieszkać.*

…Widywałam ją potem w Warszawie – pisała Maria Kuncewiczowa – *gdzie nosiła suknie uroczyste, wizytowe, jak przystało na córkę dyrektora Teatrów Warszawskich, znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza (…) Widywałam ją też w Paryżu w aksamitnym berecie, z bukiecikiem fiołków, szczęśliwą mieszkankę rue Fridevaux na bohemiańskim Montparnasie.*

> …Jerzy od niedawna nie ma Reni. Nie ma jej w mieszkaniu na ulicy Gamerskiego w Warszawie, gdzie przez 20 lat opalizowały stare szkła na mahoniowych komodach, gdzie piętrzyły się teki ze szkicami kostiumów Lifara i innych koryfeuszy baletu i opery w Paryżu, Warszawie, Nowym Jorku. Nie ma na ścianie portretu Jana Lorentowicza,

> którego intelektualne i męskie czary sączą się jeszcze z dzienników Zofii Nałkowskiej i listów anty-dulskiej Gabrieli…

Ale Irena Lorentowicz na stałe zamieszkała w kazimierskim domu, w jasnym pokoju z widokiem na brzozy. Jest jedną z tych bliskich osób, które stanowią o jego całości, wypełniają jego komórki, wtapiają się w jego zaczarowaną duszę.

Przechodzimy do dużego salonu z kasetonowym sufitem. Ciemny strop, ciemne ściany, duży okrągły stół. Uwagę moją przyciąga egzotyczny wzór na ścianie, wyłaniający się z ciemnej czerwieni, stopniowo przechodzący w miękkość i jedwabistość.

– Ta płócienna, ręcznie haftowana makata pochodzi z Turkiestanu, z Czun. Nazywaliśmy ją „płachtą turkiestańską”. Przywieziona do Polski przez rodzinę Stanisława Marii Salińskiego, była darem pożegnalnym chińskich kupców dla jego ojca. W książce „Ptaki wracają do snów” Saliński pisze o przekazaniu jej w naszym domu na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Z kultury dalekiego wschodu przenoszę się na tereny bliższe, głęboko osadzone w historii. Piec huculski, unikalne dzieło ludowej sztuki, wyłaniający się z całej gamy miękkiej zieleni, przechodzący przez wszystkie jej odmiany i odcienie, zrobiony

został z trzech starych pieców. Wprawdzie już się w nim dzisiaj nie pali, żeby kafle nie popękały, ale wygląda imponująco. Dla Marii Kuncewiczowej ma on jakąś zaklętą tajemnicę, więc wprowadza mnie w jego baśniowy świat objaśniając symbole zamknięte w huculskich rysunkach. Piec przypomina

> ...wszystko, co kiedykolwiek się śniło czy iściło w repertuarze naiwnej wyobraźni: okruchy Biblii, szwajcarskie sielanki Słowackiego, dumki-szumki pośród słoneczników, wańki-wstańki, żar-ptaki i czerwone jaja. A wszystko na płachcie Aladyna, ukazane przez szparę, dziejące się ponad czasem...

Oprócz nierealnego klimatu baśni jest w nim symbolicznie zamknięta historia. Wyrastające z krzyża dwa pędy drzewa, kończące się głowami orłów obrazowo przedstawiają schizmę wschodnią.

Pod ścianą inny szczegół ludowej sztuki. Kołowrotek i krzesełko szewskie. Obok wysoka, ciemna rzeźba z drzewa oliwkowego.

Przepiękne, lśniące lustro należące do Heleny Modrzejewskiej. Ozdobny dzbanuszek z warsztatu Pabla Picassa, gdzieś tam znów fragment obrazu Diego Rivery.

> ...mówiono mi zawsze, że przedmioty są martwe i złośliwe. Nieprawda. Serwantki, sekretarzyki, fotele i krzesła zachowały ciepło rąk stolarzy domowych, w dotyku są gładkie i przychylne fantazjom nowych waścicieli, obrazy zaś opowiadają życie utrwalone przez kazimierskich malarzy...

Moją uwagę przykuwa wiszący na ścianie ogromny olejny obraz w złotej ramie, nie pasujący do otoczenia. Idąc za moim pytającym wzrokiem gospodyni wyjaśnia – W tym miejscu wisiał portret mojego męża, malowany przez Władysława Filipiaka. Zabrano mi go chwilowo na wystawę, a w zamian dostałam ten. O, a tam, za piecem wiszą jeszcze dwa portrety, mój i męża, malowane przez Antoniego Michalaka...

> ...Jerzy, jakże pięknie Nasierowska zdołała aparatem fotograficznym uchwycić ciebie na gorącym uczynku istnienia. (...) Stojąc tam przed tobą mówię co rano: Jestem. I ty jesteś. Dziękuję za nasze długie piękne życie i modlę się, żeby ono trwało. (...) Poprzez czas i przestrzeń dajesz znak, że nie zerwała się więź miedzy żyjącą a umarłym...

Maria Kuncewiczowa w sypialni, fot. H. Dębski, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Jerzy Kuncewicz już nie żyje, to jednak jest wszędzie obecny. Jest w całym domu, w każdym sprzęcie, w fotografii na półce z książkami. Nic się nie zmieniło. Dalej pomaga żonie w pracy,

jako współtwórca każdej minuty układanej codziennie pracowicie i z sercem.

> Jest we mnie bardzo wyraziste poczucie obecności drugiego człowieka – powiedziała kiedyś pisarka w wywiadzie – oraz poczucie odpowiedzialności za kogoś. Teraz, po sześćdziesięciu latach małżeństwa, tzn. życia w tym samym domu, albo w tym samym pokoju, zdaję sobie sprawę, że przez sześćdziesiąt lat słyszałam bicie serca drugiego człowieka, oddychałam tym samym powietrzem (…) Materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę było to, że drugi człowiek, z którym się sprzęgło moje życie, wybudował mi dom (…) Pochodzę z rodziny od dawna bezdomnej, tzn. rodziny, która miała zawsze przyzwoite mieszkania, ale to nie były domy, to zawsze było coś wynajętego. A tutaj nagle okazało się, że jestem w domu, który otaczają drzewa, które też do mnie należą. Ten kawałek nieba też do mnie należy, bo moje okna patrzą na to niebo…

Spojrzałam na duży wazon z suchym bukietem. Zastygłe kolory, zatrzymane w bezruchu, pękate lub drobne kształty, tworzą malarską kompozycję z obrazu.

> Moje suche bukiety, nieśmiertelniki, osty, głogi mają inny cel: pomagają mi widzieć życie trwalsze niż to moje, wilgotne, gnijące.

Takie nieprzemijające piękno, jak to, zamknięte w suchych bukietach, jest w całym domu. Domu wymarzonym i własnym. Miejscu, do którego tęskni się całe życie i do którego zawsze się wróci. Domu, od którego klucza nigdy się nie zgubi.

Dom w Wąwozie Małachowskiego, będący młodopolskim skrzyżowaniem dworu i chaty góralskiej, łączy w sobie wiele sprzeczności. Otwarty na świat i ludzi. Często odwiedzany, przyjmujący głosy z całego świata. Wciąż piszą studenci z Ameryki, znajomi, przyjaciele z różnych stron ziemskiego globu. Piszą też zwykli ludzie, zupełnie obcy, którzy po prostu chcą się „wyspowiadać", zrzucić z siebie żale i troski. Dom ten wszystkich zmieścił. Dla każdego serdeczny, każdy coś otrzymał: cenną chwilę czy uśmiech. Maria Kuncewiczowa odpisuje na wszystkie listy *bo przecież grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć.* A jednocześnie dom ten jest bardzo prywatny, wręcz intymny, szczelnie, hermetycznie zamknięty. Wchodząc do niego, wydawało mi się, że przekraczam barierę cudzego życia, jego codzienności i niecodzienności. Że dostaję się do cudzych marzeń i tajemnic, które wprawdzie są wciąż „sprzedawane", ale nadal należą do autora. Jest to przecież dom, nie „namiot".

Mieszka tu Róża z *Cudzoziemki*, Piotr Krzysztofowicz z *Leśnika*, brat, mąż i wszyscy bliscy.

„Kuncewiczówka” jest światem w miniaturze. Zgromadzone pamiątki mają ogromny zasięg geograficzny i przekrój historyczny. A mimo to, przede wszystkim czuje się tu Polskę. Po wielu latach emigracji Kuncewiczowie zdecydowali się przyjechać do Kazimierza, bo nie wyobrażali sobie, żeby umrzeć na obcej ziemi.

Maria Kuncewiczowa zaprasza mnie do stołu. Białe wino i sernik domowej roboty. Chwila rozmowy nie związanej z domem. Zapytana o moje plany, chęci i marzenia, łapię się na tym, że odczuwam potrzebę opowiadania o rzeczach ważnych i błahych.

Kuncewiczówka, wnętrze domu, fot. Kamil Ruciński.

Chwila ciszy. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i zatrzymał się na pąku herbacianej róży. W powietrzu unosi się zapach kwiatów, wina, słońca i starego drewna. Nieubłagany zegar wybił następna minutę. Wydawało mi się przez moment, że to *dwa księżyce srebrną sanną spłynęły po niebie, uderzyły z brzękiem o szybę, do pokoju wpadły zimne i błyszczące.* Coś magicznego jest w tym domu. Jestem nie tylko tu, ale i wszędzie, nie tylko teraz, ale i kiedyś. A autorka tego czarodziejskiego

świata wydaje mi się kimś bliskim, kimś z rodziny, o kim się mówi dobrze, że jest. Dzielę się swoim spostrzeżeniem i podaję książkę do podpisu. Słychać skrzypienie pióra.

Na pamiątkę jeszcze jednej rozmowy, tym razem kazimierskiej. Maria Kuncewiczowa. Dom pod Wiewiórką 1987.

W poszukiwaniu Zegadłowicza

Dworek – Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Florian Śmieja

Bodaj jeszcze w Szkocji zaraz po zakończeniu wojny zacząłem zbierać wiadomości tyczące współczesnych literatów ze Śląska i przyległych ziem. Wśród nazwisk pojawiło się nazwisko Emila Zegadłowicza, którego “Powsinogi Beskidzkie” brzmiały tajemniczo i obiecywały niespodzianki. Lecz nie były to czasy ani miejsce sprzyjające takim poszukiwaniom. Satysfakcjonujące odpowiedzi miałem otrzymać dopiero późną wiosną 2007 roku.

W słoneczną czerwcową niedzielę wybrałem się z profesorem Włodzimierzem Wójcikiem w Polskę. Rozmawialiśmy o tym

wcześniej, nieobowiązująco, ale miało to się stać rzeczywistością tym razem. Jadąc nieśpiesznie samochodem przez piękny krajobraz dorodnych łanów minęliśmy Oświęcim i osiągnęli Wadowice. Pokłoniwszy się bazylice, skierowali następnie na drogę wiodącą do Suchej Beskidzkiej, by po kilku kilometrach zrobić skręt w prawo do Gorzenia Górnego.

To tam, w pięknym stylowym pałacyku z wejściem ozdobionym podwójnymi kolumnami funkcjonuje borykając się z różnymi perypetiami muzeum literackie Emila Zegadłowicza (1888-1941).

Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.

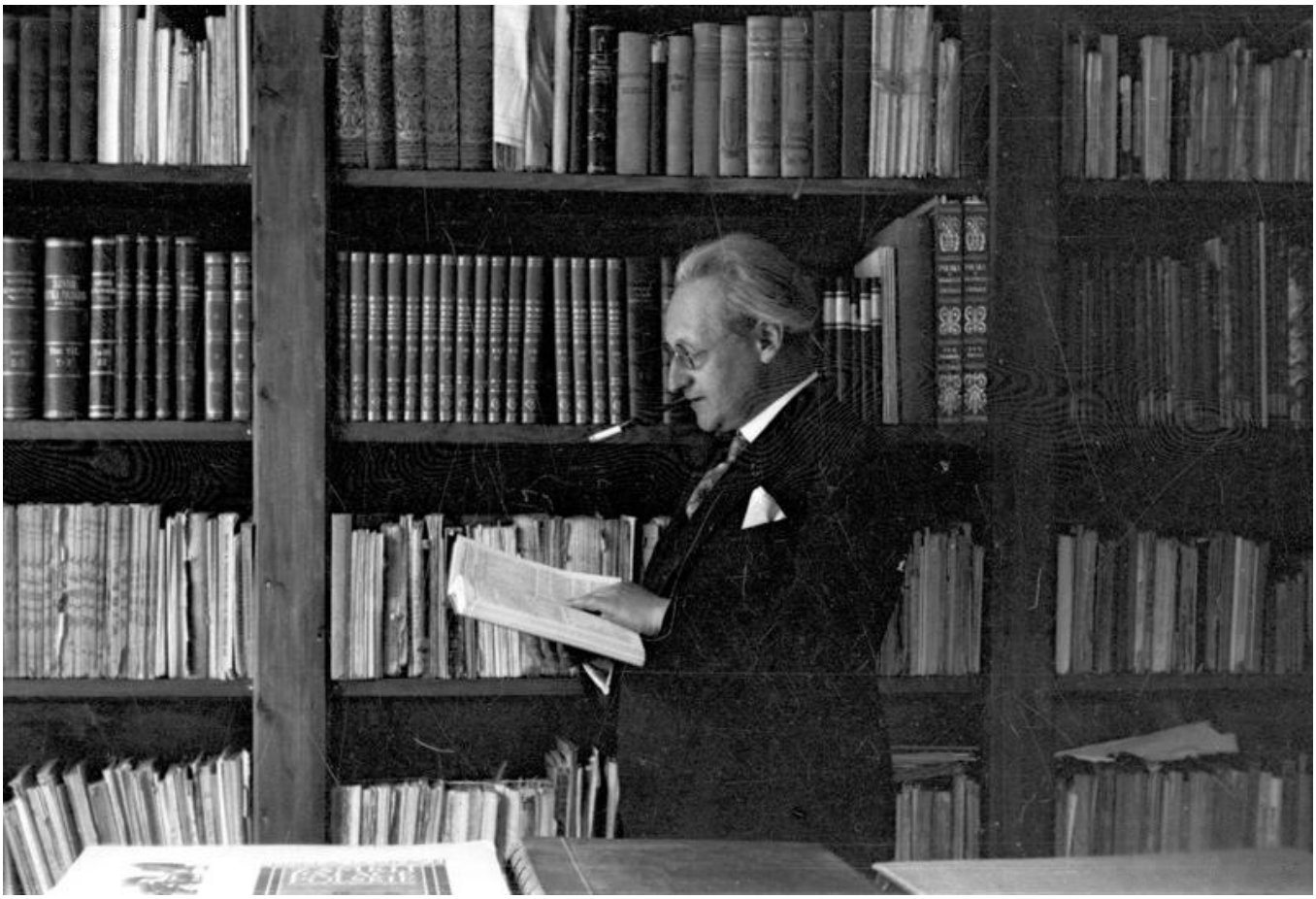

Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.

Urodzony w niedalekiej Białej pisarz, ukończył gimnazjum w Wadowicach, a w Krakowie studiował polonistykę, germanistykę i historię sztuki. Późniejsza praca zawodowa, aczkolwiek podjęta w Poznaniu i Warszawie, nie przeszkodziła powstaniu właśnie w rodzinnym domu jego bogatej twórczości literackiej. Tam też zawiązała się grupa artystyczna Czartak, powstała z fascynacji przyrodą, w szczególności zaś bliskim Beskidem.

Muzeum w Gorzeniu powstało z inicjatywy żony pisarza, Marii, w 1946 roku i prezentuje w utrzymanych w stylu epoki wnętrzach

sztukę XX lecia międzywojennego. Z trzech początkowych sal urosło do dziewięciu. W tym sanktuarium sztuk przyjaciele i sympatycy muzeum, a do nich należał profesor Wójcik, mogą liczyć na szczególnie ciepłe powitanie. Na nasze spotkanie wyszła sędziwa już córka, Atessa oraz wnuczka Ewa. Przy zaimprowizowanej na powietrzu kawie rozmawiano o wielkim wkładzie Adama, jej przedwcześnie zmarłym bracie kustoszu opiekującym się szczególnie pieczołowicie cenną puścizną po wielkim dziadku, twórcy i kolekcjonerze.

Muzeum Emila Zegadłowicza. Herbaciarnia.

Muzeum Emila Zegadłowicza. Jadalnia.

Muzeum Emila Zegadłowicza. Gabinet,

Muzeum Emila Zegadłowicza. Biurko.

Z czasem prywatna instytucja przekształciła się w Fundację. Dzięki pomocy przyjaciół i zainteresowanych ośrodków utrzymało się to świadectwo minionej epoki, w której to aurze powstały słynne poezje “Powsinogi Beskidzkie” i “Kolędziołki”, a w prozie trylogia “Żywot Mikołaja Srebrempisanego” oraz dramaty takie jak “Lampka oliwna” czy “Domek z kart”.

Zegadłowicz zmarl po ciężkiej chorobie w 1941 roku w Sosnowcu i na jednej z jego cmentarzy został pochowany, ale jego twórczość i kolekcje dzieł sztuki zapraszają do Gorzenia nie tylko na prawdziwą lekcję niedawnej historii, ale także do poznania autentycznej atmosfery i ludzi związanych z tym wyjątkowym miejscem dla kultury i nauki polskiej.

Prof. Włodzimierz Wójcik (z lewej) i prof. Florian Śmieja w Muzeum Emila Zegadłowicza.

Lektion der Stille

Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie “Quo vadis?” w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż dwa rekordy: rekord nieznajomości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle

angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż widelec”. Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka

polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie żenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity – vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas pierwsi podeszli. A obcy nie podejdą, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z iście kupiecką dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi" jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki". „W tym są niezłe grosze", zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: "Może być z obu". Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęczeć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla

nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej plątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecza, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby

ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemiężonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille”, antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to,

bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy”, ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach” nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

> Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach – nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski – uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.

Wokół literackiej

spuścizny Krasickich.

Pałac Krasickich w Dubiecku.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem
W tobie los zrządził pierwszy życia wątek.
Wyszedłem na świat, co zdarza użyłem
A czas długiego wśród ludzi przebycia

To zdziałał: gdyby się można było odrodzić.
Lepiej by było z ciebie nie wychodzić.

Ignacy Krasicki, biskup Warmiński o rodzinnym Dubiecku

Amor patriae nostra lex – zawołanie z Siecina Krasickich herbu Rogala przyświecało rodzinie przez pokolenia, zarówno poprzez służbę wojskową, sprawowanie wysokich urzędów jak i działalność literacką, pielęgnowanie tradycji i kultury polskiej. Tworzyli jedną z gałęzi Rogalów Siecińskich na Sieciniu i Murzynowie, w Ziemi Dobrzyńskiej, nad Skrwą i Wisłą. Przyjęli nazwisko z Siecina Krasickich od miejscowości Krasice, koło Przemyśla, gdzie osiadli w 1542 roku. W 1580 r. Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski i ochmistrz dworu królowej nabył Dubiecko. W 1717 r. właścicielem majątku został Jan Boży Krasicki, kasztelan chełmski, ożeniony z Anną ze Starzechowskich h. Nieczuja. Mieli oni siedmioro dzieci. Jednym z nich był późniejszy „Książę Poetów”. Ignacy Krasicki spędził w Dubiecku pierwsze lata dzieciństwa, a następnie będąc w szkole jezuickiej i seminarium przyjeżdżał tu na wakacje. *O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem, w Tobie los zrządził pierwszy wątek życia* – napisał potem w jednym z liryków o miejscu swojego dzieciństwa. W 1762 r. Anna Krasicka dokonała podziału

majątku. Ignacy otrzymał 4 000 zł renty oraz *dla wygody cały na gurze w Pałacyku Apartament y dla ludzi w Bramie izby.*

Per Krafft. Portret Ignacego Krasickiego.

W 1771 r. Ignacy Krasicki odsprzedał swoją część majątku bratu Antoniemu. Nie zerwał więzów z rodzinnym gniazdem i często tu przyjeżdżał. W 1799 roku Xawery z Siecina Krasicki, bratanek Biskupa, poślubił Julię z Ossolińskich i tym sposobem pięknie położony nad rzeką San zamek w Lesku wszedł w posiadanie rodziny Krasickich. Te dwie spokrewnione gałęzie dubiecka i leska przez wiele lat utrzymywały ścisłe kontakty. Po śmierci Antoniego (1800) Dubiecko przeszło w ręce najstarszego syna Macieja. Ten ożenił się ze słynną pięknością Teofilą Stadnicką. Życie na Dubieckim zamku płynęło wtedy spokojnie, pełne jeszcze żywych wspomnień po biskupie warmińskim. Utrzymywano liczne kontakty z właścicielami sąsiednich majątków Morskimi z Zarzecza, Dembińskimi z Niedajdowej, Lubomirskimi z Przeworska.

Po śmierci Macieja Krasickiego (1855) właścicielem Dubiecka został jego młodszy syn Aleksander. Był on poetą, heraldykiem i znawcą historii polskich rodzin. Sam pisał wierszem i prozą, podejmował tematy historyczne i heraldyczne, drukował je w *Czasie*, *Gazecie Lwowskiej*, *Nowinach Lwowskich*, *Dzienniku Literackim* oraz *Albumie Rapperswillskim*, podpisując się „A…..z S…K…”. Opublikował również 7 listów Ignacego Krasickiego zaopatrując je komentarzem. (Niestety kilka z nich podarował

przyjaciołom). Utrzymywał przyjazne stosunki z wieloma przedstawicielami świata literackiego, a przede wszystkim z poetą – lirykiem i gawędziarzem Wincentym Polem, zaprzyjaźnionym również z Krasickimi z Leska. Najdłuższy pobyt poety na zamku dubieckim przypadł na wiosnę 1835 roku. Gdy poznał tradycje rodu, oraz legendy i opowieści z czasów Księcia Poetów przekazywane głównie przez Eleonorę Krasicką, bratanicę Biskupa napisał *Pamiętniki Imć Pana Benedykta Winnickiego*. Stały kontakt z Dubieckiem utrzymywali też Józef Ignacy Kraszewski i Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), która w dowód wdzięczności za stałą korespondencję i zachętę do pracy literackiej ofiarowała Aleksandrowi Krasickiemu jeden z pierwszych egzemplarzy poematu *Lech*. Częsty kontakt z rodziną Krasickich miał także powieściopisarz, piewca ziemi sanockiej Zygmunt Kaczkowski. Sąsiadująca z Dubieckiem Nienadowa była w posiadaniu rodziny Dembińskich. Spędził tam część swojego dzieciństwa spokrewniony z Dembińskimi Aleksander Fredro.

Po Aleksandrze Krasickim dziedziczką majątku została najstarsza córka, Aleksandra, która w 1851 roku wyszła za mąż za Franciszka Ksawerego Konarskiego.

Pałac Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Aleksandra podtrzymywała rodzinne tradycje, pisała wiersze zamieszczane w *Czasie* i *Ruchu Literackim*, zapraszała do Dubiecka poetów, literatów, ludzi sztuki i kultury. Była miłośniczką talentu Z. Kaczkowskiego i Teofila Lenartowicza.

Następny właściciel majątku Stanisław Konarski wydał w roku 1898 *Dyariusz z Heilsberga od roku 1790-1792*. Jest to szczegółowy opis życia na zamku w Lidzbarku, pisany przez

sekretarza biskupa Krasickiego, ks. Michała Foxa, który Dyariusz ten przeznaczył dal zamieszkałej wówczas w Dubiecku córki brata Antoniego, Anny Charczewskiej. Po Stanisławie majątek odziedziczył syn, również Stanisław (zm.1929). Ostatnia pani na Dubiecku Izabela Konarska, córka Stanisława zapisała zamek Michałowi z Siecina Krasickiemu, ur. w 1925 r. Michał został jednak uprowadzony przez Ukraińców w 1944 r. i przepadł bez wieści w Mielnowie k. Krasic pod Przemyślem.

Muzeum w Dubiecku.

Bogate pod względem literackim życie zarówno Dubiecka jak i

Leska pozostawiło liczne ślady. Pamiątki po „Księciu Poetów” przez wiele lat były przechowywane w Dubiecku z wielkim pietyzmem. Był to: zbiór korespondencji, szereg rękopisów poety, kilka portretów, w tym portret 15-to letniego Ignacego pędzla Mierisa. Pamiątki te wraz z archiwum Krasickich zostały ok. 1900 r. przeniesione na zamek w Lesku. Inna cenna część spuścizny Krasickich to zbiór listów oddanych do archiwum leskiego w 1929 r. przez Marię z hr Fredrów Szembekową z Siemianic, wnuczkę Aleksandra Fredry.

Po wojnie archiwum leskie zostało przekazane do Archiwum Państwowego w Przemyślu.

Czasy komuny nie sprzyjały cennym archiwaliom. Pozostała w Polsce rodzina z Siecina Krasickich przez wiele lat nie miała dostępu do swojego archiwum. Xawery z Siecina Krasicki, zamieszkały w Warszawie, syn Augusta Konstantego, autora *Dziennika kampanii rosyjskiej 1914-1916* (Lwów 1934), w liście do mnie z dnia 13.06.1988 roku pisze:

> Wiadomości, które od Pani otrzymałem są wprost sensacyjne, bo jest Pani pierwszą osobą, która dotarła do naszego rodzinnego archiwum w Przemyślu – właściwie zabranego nam całkowicie bezprawnie! Jedyną wiadomością jaką miałem o tym zbiorze dokumentów, była smutna notatka

> w „Życiu Warszawy” z 2.03.1971 r. :
>
> 12 lipca 1970 r. na przejściu granicznym z Zgorzelcu w samochodzie obywatela fińskiego J.V. Maniette znaleziono kilkadziesiąt dzieł sztuki i wartościowych starych dokumentów…m.in. kilka listów z poł. ubiegłego w. należących do rodziny Krasickich. Jak wykazało dochodzenie listy te i dokumenty królewskie zostały uprzednio skradzione z Państwowego Archiwum w Przemyślu przez pracowników tej placówki.

W spisie listów i dokumentów wchodzących w skład archiwum Krasickich, a znajdujących się wówczas w Archiwum Państwowym w Przemyślu znajdowały się m.in. tak cenne materiały jak:

Listy z Heilsberga Ignacego i Ksawerego Krasickich do rodziny z lat 1773-1792, listy różne do Edmunda Krasickiego z lat 1824-1884 (Aleksander Fredro, Agenor Gołuchowski, Stanisław Koźmian, Józef Lompa, Julian Konstantyn Ordon, Rodakowski, Karol Szajnocha…itd), listy Wincentego Pola do Ksawerego i Edmunda Krasickich z lat 1837-1872, listy Zygmunta Kaczkowskiego do Edmunda Krasickiego z lat 1850-1887 (niektóre z listów Kaczkowskiego i Edmunda Krasickiego, zostały ogłoszone przez Krechowieckiego), wydarzenia

polityczne: papiery współczesne dotyczące konfederacji barskiej 1768-1791, fragment pamiętnika Edmunda Krasickiego z 1831 roku,

Listy dotyczące Aleksandra Fredry i rodziny oddane przez Marię Szembekową znajdowały się w osobnym fascykule nr 248/V.

Literackie ślady można też znaleźć w księgozbiorze Krasickich. Dotyczy to nie tylko zawartości biblioteki świadczącej o zainteresowaniach poszczególnych członków rodziny, ale przede wszystkim bogatej proweniencji i cennych marginaliów.

Salon w Pałacu Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe

Po wojnie w Dubiecku i Lesku pozostał księgozbiór w dużej części zdekompletowany i rozproszony. W 1946 roku księgozbiór Krasickich z Leska trafił do biblioteki Muzeum Historycznego w Sanoku. Jest to przede wszystkim XVIII-to i XIX-to wieczna literatura piękna w języku polskim, niemieckim i francuskim, ale także czasopisma, pośród których jest m.in. *Przegląd Polski* wychodzący w Krakowie w latach 1866-1913 i *Przewodnik Naukowy i Literacki* wydawany we Lwowie w latach 1877-1919. Część księgozbioru dubieckiego przez przypadek trafiła do biblioteki Muzeum Zamku w Łańcucie w poł. lat 80-tych. Najcenniejszym egzemplarzem w „skrzyni z Dubiecka", która do Łańcuta trafiła zamiast lustra, jest pięknie wydany XVIII-to wieczny słownik francusko-łacińsko-włoski z podpisem „Księcia Poetów". Z I poł. XIX w. pochodzi najwięcej pozycji. Jest tu literatura piękna: dramaty Schillera, Szekspira, cykl dramatu angielskiego, utwory popularnych autorów komedii. Są także tomiki poezji, beletrystyka francuska, powieści Waltera Scotta, dzieła zebrane Coopera oraz pamiętniki Napoleona i pani George Sand. Jest także poezja o charakterze encyklopedycznym, cykl podróży dookoła świata, dzieła historyczne, polityczne i religijne. Liczna proweniencja wskazuje kolejnych właścicieli. Na kartach tytułowych widnieją podpisy „comte Krasicki – Dubiecko", „Teofila Krasicka", dedykacje od Magdaleny Morskiej z Zarzecza

czy Dembińskich z Nienadowej. W zapomnianej do niedawna skrzyni znajdowały się też książki z podpisami Konarskich, np. „Historia Juliusza Cezara” czy „Sekrety Napoleona Bonaparte”. Z tego okresu, czyli II poł. XIX w. pochodzi kilka tomików poezji, powieści francuskie, tzw. nowoczesne biografie, przygody Robinsona Crusoe itd.

Literackie ślady znajdujące się w archiwum Krasickich, czy w zapomnianych księgozbiorach do tej pory nie doczekały się pełnego, monograficznego opracowania. W roku akademickim 1998/99 w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu powstała praca magisterska Waldemara Soleckiego pt. *Archiwa Krasickich herbu Rogala*, napisana pod kierunkiem prof. B. Ryszewskiego. W przewodniku *Archiwa Państwowe w Polsce*, rozdział 4, Michał Proksa. *Archiwa rodowe w zasobie Archiwum Państwowego w Przemyślu. Archiwum zamku leskiego Krasickich*, autor tylko w ogólny sposób zaznacza zawartość cennych zbiorów. Nikt jednak nie zajął się literackim aspektem tych archiwaliów, jako źródła cennych informacji ilustrujących dzieje naszej literatury.

Refleksje z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem

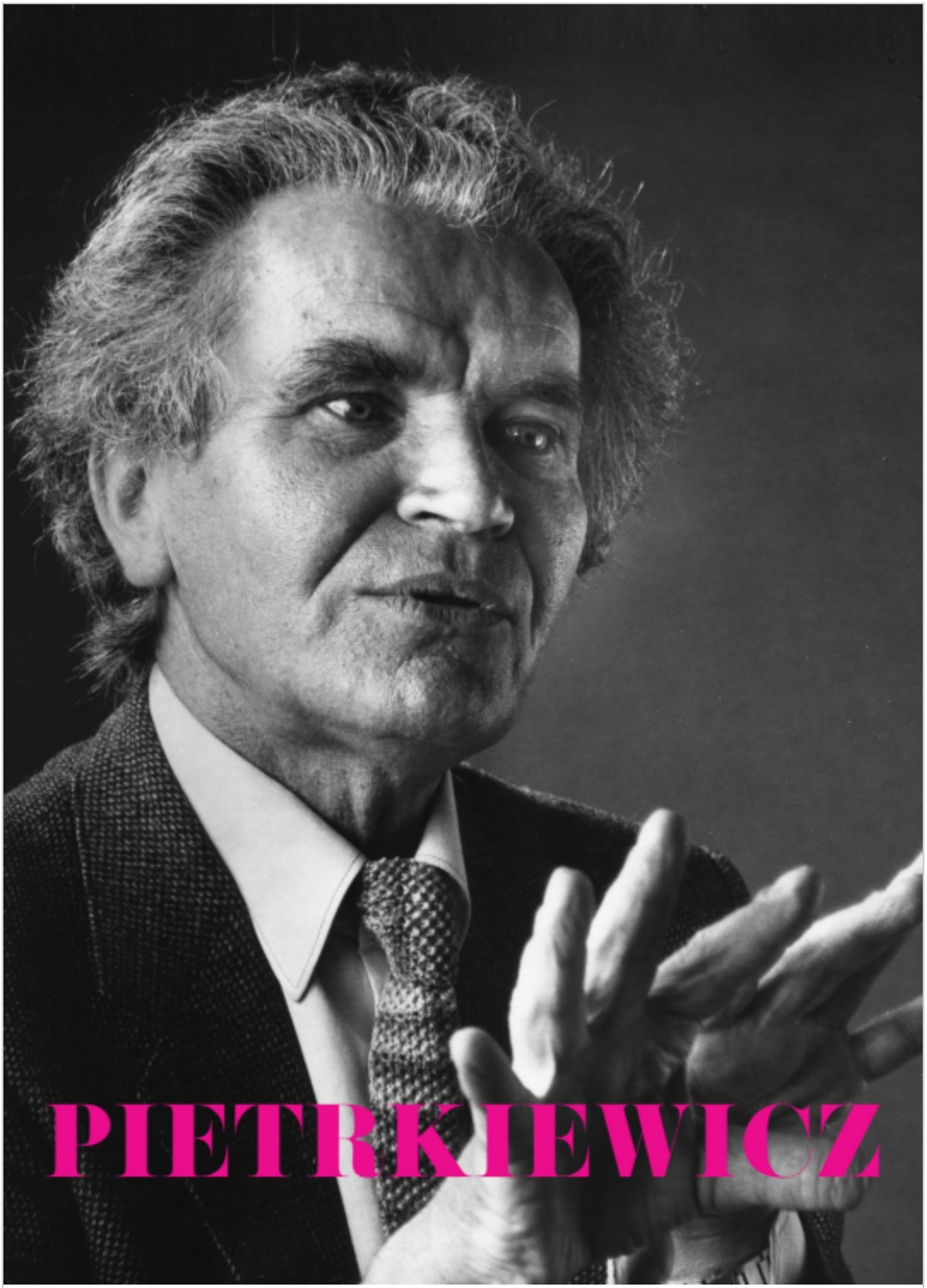

Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na poczcie w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej , która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

> Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale – błagam – niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.
>
> Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich – bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady – tak, tak…), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? – tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust…
>
> Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie – ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

> Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) – może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r.,co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages" jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości", to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie – naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przeniosłem, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

> Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet"- na tym polega dowcip

> cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble” (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) – tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos” na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam”.

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

> Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity – to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmienne .A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV –

> rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał *dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę sie, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu*. Dowcipnie dodał: *Miło było zobaczyć Twoją gębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.*

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

> Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny”. Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-

> dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzie- do Alhambry…

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

> przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki… Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).
>
> …Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis…

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

> co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z

> życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.
>
> Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokręgi. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronic ze „Sycyny", którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

> Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam" czy „The Other Side of Silence". Ktoś próbował „The Other Side" ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych . Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

> Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.
>
> Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

> Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim esejem, który nieźle się czyta po latach.
>
> A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Racławic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej” w ambasadzie, przyjacioły się zeszły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

> Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)…
>
> Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.
>
> Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. ”Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu

zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

> …jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuza, ale słaba. Rzekę tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada. Amen.

Potem powtórzył:

> Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą-zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława

Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury”. To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu ”El nido oculto” pod Granadą objaśniał:

> Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto wedle nazwy domu. Podczas pełni księżyca koło się kręci*.)

> A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz…

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

> Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry,

> a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na zamówienie – taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.
>
> W książce jest sporo błędów korekty – będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający ważność pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury – raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.
>
> Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

> Dobrą drogę wybrałeś – i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe,

> można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.
>
> To Niemojowski opracował antologię – pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).
>
> Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie ważność tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.
>
> Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.
>
> „Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw.

autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów“, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu“, który drukował w sześciu numerach jego poemat Prowincja, dokument autentyzmu – 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord*, *Future to Let* – 1958, *Isolation, Inner Circle* – 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy“, *The Other Side of Silence* – 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* – 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Pietrkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who’s Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.

Terminowanie

„Gabito”. Gabriel García Márquez (1928–2014).

Gabriel García Márquez.

Florian Śmieja

Bujam się miarowo w pasiastym hamaku, pod sklepieniem z palmowych liści. Choć to grudzień, skwary nie ustają, tylko wilgoci mniej. Brązowa wiewiórka zwinnie biega po cienistym drzewie fikusowym. Koło basenu słychać szczebiot drobnych, młodych Metysek, które co chwila z udanym przerażeniem wpadają do wody. I wcale nie są to bezwolne ofiary rezolutnych chłopaków, wrzucających je do kąpieli, ale tak właśnie wyglądają odwieczne gry młodych.

Z plaży dolatują odgłosy mozolnego uderzania: to śniady mężczyzna w słomkowym kapeluszu rozbija maczetą świeże

orzechy kokosowe. Palmy, wysokie, dobrze utrzymane, mają tak jak u nas owocowe drzewa, wapnem bielone pnie, a w ich dostojnych liściach, kołyszących się na wietrze, gwiżdżą czarne, lśniące ptaki o długich ogonach. Zza parkanu przeziera duży napis, nazwa sąsiedniego hotelu: Macondo. Tak jak niegdyś na tej ziemi szukano upragnionego Eldorado, tak teraz kusi, by gdzieś konkretnie umiejscowić mityczną osadę założoną przez Joségo Arcadio i Ursulę Buendia Iguarán, odnaleźć utopijną społeczność, śmieszną, a zarazem tragiczną, żyjącą w czasie historycznym, ale przecież złudnym i wirtualnym, jak byśmy dziś powiedzieli, wydaną na żer zwątpieniu, oddaną snom bardziej niż rzeczywistości, łaknącą nowości, a zakotwiczoną w tradycji. Macondo czyli Nigdzie, ale i Macondo jako Wszędzie, miniatura losu ludzkiego, nie tylko okruch egzotycznej Kolumbii.

Gdzieś w pobliżu muzykuje spotkany wcześniej na ulicy młody gitarzysta. Od czasu do czasu słychać jego tęskne słowa:

Un poquito de cariño yo te pido

un poquito de cariño, nada más.

Ten hotel pod Santa Marta, najstarszym miastem na tym kontynencie, założonym przez Hiszpanów, o pięknej zatoce i

dumnej karcie historycznej, bo m.in. tu umarł bohater walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod władzy Hiszpanów, Simón Bolivar, znajduje się przecież w miejscu równie odpowiednim, równie trafnym jak inne: góry niebotyczne zagradzają przejście, a za tym łańcuchem gór nie do przebycia leży Riohacha ze wspomnieniami Francisa Drake'a. A i do Cartageny nie tak daleko czy do Aracataca, miasta związanego z Gabrielem Garcią Márquezem.

Lokalni Indianie siedzący nadal w niedostępnych górach, jak informuje bogate muzeum w Santa Marta, wyobrażali sobie świat w kształcie jaja złożonego z dziewięciu warstw. W środkowej umieścili siebie, pod nimi leżały światy gorsze, nad nimi, lepsze. Liście koki sprawiały, że życie było do zniesienia: miały moc zamazywania ostrych konturów rzeczywistości. Dorastającym chłopcom w czasie obrzędów wręczali fajeczkę, *poporo*, do koki zmieszanej z mieloną muszelką.

Taką to magiczną ziemię porzucił Garcia Márquez, kiedy zapisał się w 1947 roku na studia prawnicze w Bogocie i zamieszkał w pensjonacie przy ulicy Floriana. Po nocach pisał opowiadania. Jedno z nich pod tytułem *Trzecia rezygnacja* zaniósł do redakcji gazety „El Espectador", która zapraszała młodych pisarzy do współpracy. Dodał karteczkę ze słowami *Przeczytałem Pańską notatkę i załączam opowiadanie. Proszę drukować, jeżeli się nadaje, jeśli nie, podrzeć*. Kiedy opowiadanie się ukazało,

Márquez musiał pożyczyć 5 centów, by kupić egzemplarz pisma. Ogłosił tam jeszcze kilka opowiadań. Zanim wybuchły w Bogocie krwawe rozruchy po zamordowaniu liberalnego przywódcy Gaitana, Márquez opuścił niebezpieczną stolicę i powrócił na wybrzeże. W Cartagenie zapisał się ponownie na prawo i udał się wprost do Manuela Zabali, redaktora naczelnego, nowo założonego dziennika „El Universal" z wydrukowanymi w piśmie „El Espectador" opowiadaniami. Okazało się, że Zabala je już czytał i zatrudnił z miejsca młodego pisarza. Tak więc w Cartagenie, o której bezskutecznie marzył Cervantes, otrzymał pracę dziennikarza i reportera dwudziestoletni Gabriel Garcia Márquez, którego przezwano „Gabito".

I tak zaczął się krytyczny dlań etap lat 1948–1949. Jako początkujący reporter, piszący po nocach opowiadania, doszedł do przekonania, że zarówno dziennikarstwo jak pisarstwo wywodzą się z tych samych korzeni.

Podupadła kolonialna Cartagena była jednym ogromnym cmentarzyskiem wielkich imperialnych wydarzeń. O lepszych czasach świadczyły niezwykłe mury miasta i forty, masywne budowle publiczne i okazałe rezydencje z typowymi hiszpańskimi balkonami. Cienie bohaterów owych czasów, echa ich zasług i występków błądziły po wąskich uliczkach, Márquez słuchając opowiadań o żonie czterokrotnego prezydenta, Soledad, zauważył że to dobre imię dla powieściowej heroiny. Słuchał

pilnie, kiedy inni mówili, przytakiwał i rozmyślał. Chłonął baśniową atmosferę historycznego miasta. Był małomówny, poważny, pilnie obserwował. Cechowała go delikatność w obejściu i kultura w mowie. Koledzy wspominają go jako człowieka, który nigdy niczego nie potrzebował, nie narzekał na swoją sytuację, nie mówił o zarobkach. Miał fantazję, gdy wespół z kolegą redakcyjnym wymyślał postacie, pisał o nich, a nawet fingował rozmowy z nimi. Kiedy przez miasto przejeżdżali wybitni artyści jak Yehudi Menuhin, czy uczeni i pisarze, Dámaso Alonso, reporterzy mieli okazję zbliżyć się do nich i poznać ich osobiście. Skorzystał z tego również Márquez wręczając swoje opowiadania żonie Dámasa Alonso, powieściopisarce Eulalii Galvarriato. Kiedy wyjeżdżała, zwróciła teksty bez słowa komentarza. Innego rodzaju atrakcją był mag i fakir, który brał do ust stopiony ołów, a językiem dotykał rozpalonego żelaza. Celebrowano lądowanie pierwszego samolotu cywilnego w pobliskim Barranquilla, inaugurującego regularną komunikację. Ktoś propagował odmładzające serum francuskie. Tymczasem na arenie politycznej dopuszczano się represji i mordów, policja ostrzelała procesję religijną. W prasie dominowała polityka i gwałty.

Jako student Márquez wziął udział w wyborach królowej studentów, a wygłoszona z tej okazji jego mowa przysporzyła mu więcej uznania niż jego dotychczasowe osiągnięcia pisarskie. Wybory wywołały zatargi, podziały i ściągnęły polityczne

represje, pozostawiające cierpki smak kolumbijskiej rzeczywistości. Tymczasem Márquez przepadł na egzaminach uniwersyteckich, orzekł. że prawo nie było mu pisane i postanowił zdawać na dziennikarstwo. Odgrażał się, że wyjedzie do Wenezueli, gdzie płacono lepiej, a on będzie mógł pisać książkę. Marzył jednocześnie o zbudowaniu dla siebie idealnego domu w Cartagenie, z którego okiem mógłby przez dzień cały oglądać mury miasta i morze.

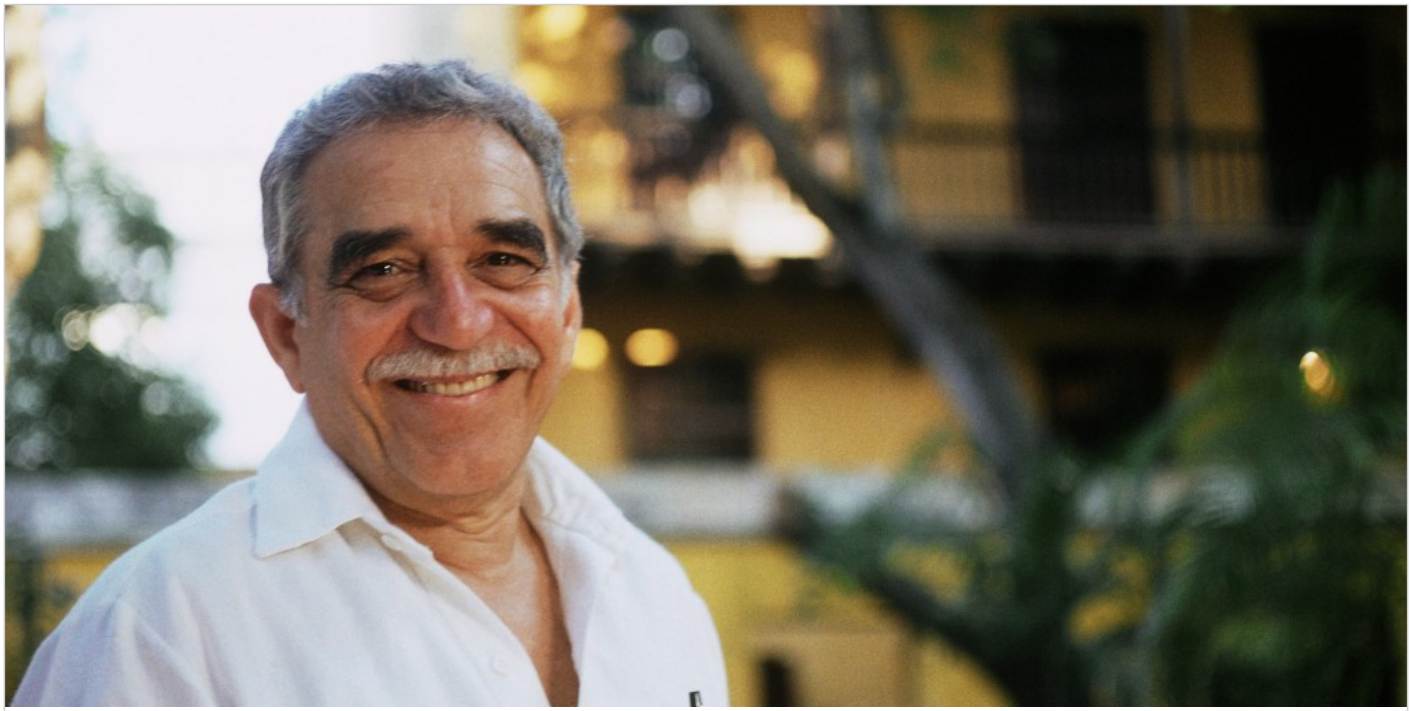

Gabriel García Márquez.

Zaczął bywać w siedzibie gazety pełnej duchów i widm: księdza bez głowy oraz tajemniczego pracownika piszącego na maszynie do świtu. Chodził nad Zatokę Dusz na molo, tętniące życiem dzień i noc. Wspomina jak w czasie posiłków w jednej z

tamtejszych restauracji słuchał opowiadań i plotek, i jak z tego materiału powstawała następnego dnia gazeta. „Gabito” lubił wybijać takt na stole, podśpiewywać i opowiadać anegdoty. Fascynował słuchaczy, choć mówcą nie był. Miał szaloną wyobraźnię. I tak to trwało do świtu, kiedy na morze wypływać zaczęły kutry i łodzie. Tych nierealnych świtów młodości pisarz nigdy nie zapomniał. Ani opowiadań stróża, jak to bogacz kupił niewolnicę na wagę złota, a później musiał ją zabić, żeby wyzwolić się z jej czarów. I pokazywał na ścianę, za którą miała być pochowana, o oblężeniu Cartageny przez flotę Vernona, o ujęciu patrolu angielskiego, poćwiartowaniu żołnierzy i spożyciu ich ciał, o bandycie-magu, który tak znakomicie zabalsamował zwłoki wicekróla, co się utopił w zbiorniku wody, że rządził spokojnie dalej aż do przyjazdu następcy, w czasie gdy rozgorzało powstanie Murzynów. Takich to barwnych bajd słuchał „Gabito”, zdolny prowincjusz, pukający nieśmiało do zamkniętego, tradycyjnego miasta. Fizycznie wątły, o szarej twarzy, nieatrakcyjny z wyglądu, a do tego ubierający się niedbale, chodzący z wypuszczoną koszulą, nazywany był za taką aparycję „cywilną odwagą”. Chodził w żółtych koszulach, które zmieniał na targu na nowe.

O literaturze Márquez mógł rozmawiać do woli z naczelnym. Zabala był mężczyzną w sile wieku, niedużego wzrostu, rysy miał indiańskie, ciekawskie oczka za okularami. Nosił zawsze białe garnitury. Pisarz i liberał, był człowiekiem oświeconym oraz

oczytanym w literaturze. Polubił zdolnego i pracowitego „Gabito” i poświęcił mu dużo czasu i mozołu. Koledzy początkującego wówczas reportera zgodni są w ocenie roli, jaką odegrał Zabala. Wspominają z wdzięcznością, że był ich dobrym duchem, doradcą i modelem artystycznym oraz osobistym, poprawiał ich dziennikarskie teksty. Nawet po latach sam Márquez przyznał, że Zabali zawdzięcza wiele z tego czym jest. Do starszego i doświadczonego redaktora mówił zawsze „maestro”, a on był mu mistrzem znamienitym. Nie tylko rozmawiał z nim na temat literatury i podsuwał pisma stołeczne, ale systematycznie wprowadzał go w świat wielkiej, współczesnej powieści. Kazał mu oczywiście czytać Cervantesa, ale także Joyce’a, Unamuno, Faulknera, Hemingwaya, Wirginię Woolf, Dos Passosa, Steinbecka, Malaparte. Był motorem Márqueza, czytał, komentował i poprawiał jego twórczość, o której wyrażał się entuzjastycznie, wróżąc młodemu autorowi wybitną przyszłość literacką. Márquez wspomina czasy nauki mówiąc, że dowodem najlepszych robionych postępów były rzadsze ingerencje robione czerwoną kredką redaktora naczelnego. Zabala zalecił mu słuchanie muzyki klasycznej.

„Gabito” dużo pracował w nocy. Dopiero o świcie, po zamknięciu gazety, kładł się na belach papieru w drukarni i spał. Duża część powieści *Sto lat samotności* powstała w lokalu drukarni przy ulicy San Juan de Dios. Wszystko co napisał pokazywał tylko Zabali, a ten czytał z wielkim entuzjazmem i poprawiał. Tak było

też z jego pierwszą powieścią *Szarańcza*, którą autor przepisywał kilkakrotnie. Był już sławny jako znakomity twórca opowiadań, które z Cartageny nadal słał do Bogoty.

Zasadniczym jednak zajęciem było pisanie informacji i felietonów o trywiach życia miasta i okolicy, a także o niektórych wydarzeniach na świecie. Właściwie „El Universal" nie było pismem sensacyjnym. Jego nakład wynosił 1000-2500 egzemplarzy, interesowało się sceną polityczną, prowadziło kronikę towarzyską i śledziło codzienne życie miasta. Pisało więc o zabójstwie lokalnego przywódcy liberałów, choć sytuacja polityczna w Kolumbii w 1948 roku była niebezpieczna i w wielu felietonach odczuć można było unikanie drażliwych tematów, za to dużo rozwodzono się na tematy neutralne, językowe, literackie i sportowe.

Kiedy Márquez pojechał na urlop do Sucre, przywiózł stamtąd galerię portretów ludzi i krajobrazów. Strony rodzinne nagle zafascynowały go, a on postanowił zawłaszczyć sobie to odkryte bogactwo obrazów wybrzeża. Dotąd opowiadania jego nie odwoływały się do lat i kraju dzieciństwa, a w felietonach robił to sporadycznie i bojaźliwie. Nowe teksty ukazują radość młodego człowieka odkrywającego swoje autentyczne korzenie, czarne kobiety, Indian schodzących z gór Santa Marta z naturalnymi lekarstwami i sekretnym lubczykiem. O tym wszystkim od tego czasu pisze z lubością i teksty swoje podpisuje nazwiskiem. Choć

tego rodzaju tematy znikają na jakiś czas, powracają, widać ciągły nad nimi wysiłek, by znaleźć właściwy styl i trafne słowo, ton i klimat. Obserwujemy proces nieustannej modyfikacji, dojrzewania. Te zdarzenia nieco przerobione drukuje też w innych pismach, dodaje amplifikacje, przypisuje innym, nieznanym korespondentom, ukazując moc sprawczą, sugerującą bujną rzeczywistość i moc słowa. Znajdujemy powtórki, powoływanie się na anegdoty wcześniej drukowane w gazecie, choćby historię Octavia, który wypalił laskę dynamitu. Pisze o właścicielu cyrku, który zatonął w drodze z Kuby do Cartageny, cytuje Charlie Chaplina, wystawia się na krytykę biorąc w obronę lokalnego toreadora, cytuje Aldouxa Huxleya, dostrzegającego dokoła siebie symptomy „dzielnego, nowego świata". Nawiązuje też pierwsze kontakty z ambitną, młodą grupą intelektualną w Barranquilla. Staje się krytykiem poezji i prozy, wspomina rocznicę Edgara Allana Poe, pisze pierwsze artykuły o kinie, a nawet o… hodowli bydła w jednym z regionów kraju. Rzadko używa pseudonimu. Jednym z nich jest „Septimus", postać z powieści Wirginii Woolf. Márquez wyzna, że byłby zupełnie innym pisarzem, gdyby nie przeczytał powieści *Mrs Dalloway* i opisu zniszczenia, które niesie czas.

Zaczęły się ukazywać pierwsze recenzje i pochwały pisarstwa Márqueza. Opowiadania święciły triumfy, dostrzeżono oryginalne postacie, somnambuliczne i niezwykłe. To kontakt z ziemią dodał rumieńców nie tylko pisarzowi w czasie urlopów, ale i jego

konfabulacji. Codzienne obcowanie z wieśniakami, proste, nieskomplikowane rozmowy, krajobrazy i czyste powietrze, stały się przemożną inspiracją, podobnie jak i całe niezwykłe miasto. Pamięta o gmachu konwentu klarysek, przemienionego w szpital Santa Clara, pełen tradycji i zmagań z morskimi wiatrami, bohaterski opór zakonnic, odpierających atak żołnierzy, którzy przyszli, by je z konwentu usunąć. Gmach ten później trafił do powieści, a obok niego powstał jego dom marzeń. W pułkowniku rozpoznano historyczną postać gen. Uribe. Pisarz zbiera drobne anegdotki, przerabia i tworzy magiczny realizm, prawdę-zmyślenie, w którą możemy uwierzyć.

Wspominał jego ojciec, że fantazję Márquez miał już od dziecka, widział jedno, a relacjonował co innego. Wszystko wyolbrzymiał, ale to łgarstwo nikomu nie szkodziło. Długo pisał wielką prozę pod tytułem *Dom* i z tej relacji wychodziły postacie i przepadały, powieść raz pęczniała, innym razem chudła.

Gabriel García Márquez.

Czytał niekiedy partie tej narracji innym, ale nikt nie ingerował w jego dzieło. Ktoś się wyraził, że Márquez nie jest twórcą, ale narratorem, zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Vargas Llosa myśląc o penisie-olbrzymie w *Stu latach samotności* wskazywał

na wpływ Rabelaisgo. Lecz po Placu Bolivara w Caratagenie kręcił się typek, Noli, który się szczycił nadzwyczajnym przyrodzeniem, personifikował je i opowiadał wiele anegdot. Márquez twierdzi, że w opowieści chciał przypomnieć swojego dziadka Gerinelda, który pokazał mu po raz pierwszy lód, lecz wiemy też, że Carlos Alemán, jeden z przyjaciół pisarza w Cartagenie, opowiedział mu historię Temistoklesa Delgado, który zabrał swojego syna, aby ten zobaczył dziw. Po ceremonialnym otwarciu skrzyni, przywiezionej łódką na dziedziniec Rady Miejskiej, oglądał jedynie mokre trociny. Lód się stopił. Wysłany przez swoją redakcję do krypty dawnego konwentu Santa Clara, zapamiętał długie włosy zmarłej kobiety mierzące 22 metry i 11 centymetrów. Przypomniała mu się opowieść babci o dwunastoletniej markizie, która miała włosy jak tren ślubny. Ukąszona przez psa zmarła na wściekliznę. Dokonywała cudów i czczono ją nad Morzem Karaibskim. W Turbaco sławny pułkownik Buendia walczył w wojnie tysiąca dni jako liberał. Odniósł ciężki postrzał. Kiedy go znaleziono, w ranie jego gnieździło się robactwo. Mimo to wyzdrowiał i zyskał rozgłos, że kule się go nie imają.

W owym czasie wyszła powieść rówieśnika, którą Márquez omówił. Chwalił jego metodę polegającą na wychwytywaniu przeżyć na gorąco i przenoszeniu ich w świat powieści bez płacenia myta „laboratorium wyobraźni”. Żartuje, że autor będąc człowiekiem wsi, zna walory odżywcze mleka prosto od krowy.

Przypuszcza też, że ma do czynienia z powieścią autobiograficzną. Gani natomiast powieść za niewyrobiony styl, za to, że wydana została za wcześnie. Chwali szczerość autora i bohaterów książki.

Autor tego prologu sam był w posiadaniu imponującego zwoju papieru, rulonu fantastycznej prozy, z której wyodrębniały się już wyraźnie osobne powieści, pełne autobiograficznych reminiscencji, ale ich twórca ciągle je jeszcze szlifował i przetwarzał, nie wypuszczał z rąk, zasięgał języka u znawców, korygował styl z Zabalą. Wypowiadając cytowane krytyczne opinie pod adresem debiutu przyjaciela, przedstawiał własne poglądy na powieść.

Po dwu latach wyjechał z Cartageny do pobliskiego przemysłowego miasta Barranquilla, gdzie obiecano mu pracę w lokalnym dzienniku i trzykrotnie wyższą pensję. Miał tam też kontakty z gronem interesujących młodych pisarzy, którzy posiadali bogate biblioteki. W Barranquilla wreszcie zamieszkała jego sympatia z Cartageny, Mercedes, nazwana przez Márqueza pieszczotliwie „Żyrafą”, z powodu długiej szyi. Pod takim też tytułem zaczął pisać swoją stałą rubrykę w „El Heraldo”, w którym pracował od 5 stycznia 1950 roku.

Rok później bawił ponownie w Cartagenie, próbując tam osiedlić krewnych sprowadzonych z Sucre. Założył też periodyk

„Comprimido” składający się z samych reklam i notatek. Pismo wnet jednak upadło.

Szczegóły życia lat spędzonych w Cartagenie i aktywności dziennikarskiej znamy dzięki trosce właściciela dziennika „El Universal”. To on zbierał pieczołowicie wszystkie roczniki. Niestety, dziś brakuje w kolekcji kilku numerów pisma z 1948 roku, a co gorsze, również z 1951, kiedy Márquez drukował w nim serię reportaży z Sucre, m.in. o zabójstwie, w które zamieszani byli ludzie znani pisarzowi. Niepowetowana to strata, bo z tego materiału miała później powstać powieść *Kronika zapowiedzianej śmierci*.

Wspomnienia i opinie przyjaciół i współpracowników zebrał skrupulatnie energiczny, młody redaktor „El Universal”, Gustavo Adolfo Arango, który je ocalił od zapomnienia i opublikował w tomie *Un ramo de nomeolvides* (Bukiet niezapominajek).

Spacerowałem z nim po przestrzennym, widnym, nowym gmachu naprzeciwko słynnego fortu San Felipe. Tam mieści się dziś redakcja i drukarnia „El Universal”. Na korytarzu stoi linotyp – świadek dawnych czasów. Nowoczesna prasa rotacyjna i pięciometrowe bele papieru ustawione w dużej hali są odpowiedzią na obecne zapotrzebowanie. W 1995 roku ten nowy budynek odwiedził Márquez, który przybył na otwarcie ufundowanej przez siebie szkoły dziennikarstwa. Tam odbyła się

jej sesja inauguracyjna. W instytucji, w której pisarz zaczął się uczyć dziennikarstwa, jak powtarza, jedynej użytecznej rzeczy, jaką robił w swoim życiu.

Skorzystał z tej okazji Arango, który w czasie swoich badań przypisał Márquezowi różne krótkie teksty i notatki opublikowane w „El Universal” bez podpisu, konfrontując autora z innymi jeszcze tekstami dziennika, które także ukazały się anonimowo. Przeczytawszy jeden z nich pisarz zauważył: *Nie pamiętam, czy ja to pisałem. To możliwe. W notatkach tego typu zmieniałem styl, używałem tonu neutralnego, który jest nieomal nie do zidentyfikowania.* Notatkę o znalezieniu zamordowanego niemowlęcia w jednej z biednych dzielnic Cartageny, natychmiast rozpoznał jako swoją. Wobec innych załamał ręce. Może nikt już nie odgadnie ich autorstwa. Ale to jeszcze nie ostatnie słowo, bo pociesza się autor wspomnień*: Zawsze jeszcze coś pozostaje do powiedzenia*.

W dwóch światach jednocześnie

Dariusz Pawlicki

Dobrze pamiętam jak jeszcze niedawno, aby przenieść się w myślach w inne miejsce, odległe o wiele kilometrów, musiałem zamknąć oczy. Dopiero wtedy, gdy wizualna strona świata realnego, jakby przestawała istnieć, mogłem rozpocząć wizytę w owym „innym miejscu”. Przy czym to przenoszenie mogło odbywać się tylko wtedy, gdy stałem, leżałem bądź siedziałem. A obecnie może mieć miejsce także podczas wędrówki. Zmieniło się także i to, że owe wizyty w odległych miejscach, nie ograniczają się tylko do tego, co widzę. Towarzyszą im bowiem doznania słuchowe, dotykowe, zapachowe.

Ale sprawa odwiedzania w taki sposób miejsc przedstawia się teraz jeszcze o tyle inaczej, że są one odległe o tysiące kilometrów. Przebywam przykładowo na Manhattanie. A konkretnie na Morton Street, w środku Greenwich Village, którą zresztą lubię. I będąc tam, przypatruję się ceglanym ścianom domów, okiennicom w niektórych oknach. Następnie chodnikom

ułożonym z dużych płyt kamiennych. Ale nagle przenoszę się na bliską mi Suwalszczyznę. Owe przenosiny, odbywają się prawie zawsze bezproblemowo, bez żadnego też okresu przejściowego. Po prostu w następnym momencie mogę znaleźć się, chociażby, na drodze leśnej wiodącej od Gościńca w stronę Przewrocia, a dalej ku Ciemnemu Lasowi nad Czarną Hańczą.

Dom przy Morton St., fot. D. Pawlicki.

Idąc po asfaltowej nawierzchni lub płytach kamiennych na wspomnianej Morton Street, odczuwam równocześnie pod butami miękkość piaszczystej drogi, a także, raz po raz, sztywność szyszki, świerkowej lub sosnowej. Pamiętam też wówczas o zwracaniu uwagi na wystające z ziemi grube korzenie. Zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie wspomniana droga biegnie nieco w dół, jest ich wiele i są szczególnie grube. A za sprawą kolejnego deszczu, wypłukującego piasek i żwir, ukazują się następne. Przy tym niebo nad Greenwich Village, najczęściej błękitne z pojedynczymi lekkimi obłokami, jest równocześnie niebem nad lasem, przez który wędruję. Ów las znajduje się na północnych obrzeżach rozległej Puszczy Augustowskiej.

Wszystkiego tego, jak wspomniałem, doznaję na jawie. A przy tym moje oczy są otwarte. I wiem, gdzie przebywam ciałem i gdzie przebywam… duszą. No bo jeśli składa się na mnie ciało i dusza, a to pierwsze jest w jednym miejscu, więc w drugim musi być dusza; bo cóż innego?

Łatwość poruszania się po wspomnianym miejscu, jak i po innych na Suwalszczyźnie, wynika z wielokrotnego i długiego przebywania w nich wcześniej. A także, co jest chyba oczywiste, z tęsknoty za nimi. Myślę nawet, że tęsknota, w formie jakiegoś

zadośćuczynienia, daje mi w zastępstwie możliwość takiego podróżowania. W zastępstwie, gdyż nie zdarzy się żaden cud, i póki nie przelecę samolotem nad Atlantykiem, kora drzewa, którego dotknę, będzie korą drzewa rosnącego na przykład na Washington Square, a nie nad jeziorem Pogorzelec.

O przenoszeniu się w konkretny punkt na Suwalszczyźnie decyduje nastrój, pragnienie znalezienia się właśnie w nim, a nie gdzie indziej. Ale niekiedy powodem jest, co innego. Może to być na przykład…

Lipcowy dzień był gorący. Czuć też było w powietrzu wstrętną wilgoć. Jeszcze gorzej było, gdy znalazłem się w podziemiach, na ruchliwej stacji metra o nazwie Union Square na Manhattanie. I właśnie wtedy dotarło do mnie wspomnienie styczniowego, wczesnopopołudniowego dnia. Mróz był kilkunastostopniowy, ale nie wiał wiatr.

Ruszyłem z moim kuzynem ku brzegowi jeziora Pogorzelec. Weszliśmy na powierzchnię zamarzniętego jeziora. Jakakolwiek ostrożność w tym wypadku była najzupełniej zbędna, gdyż mieliśmy pod sobą przeszło trzydzieści centymetrów lodu. Śnieg sięgał za kostki i był dziewiczy. Jedynie w kilku miejscach natrafiliśmy na tropy saren, które ze wschodniego brzegu przeszły na przeciwległy.

Biały puch iskrzył się w słońcu. Nad sobą mieliśmy intensywnie niebieskie niebo z nielicznymi obłokami. W oddali, na tle ośnieżonego lasu widać było dwóch wędkarzy. Raz po raz wstawali z siedzisk i stawali przy przeręblach.

Odczuwałem radość, że idę w zimowy dzień, pod pięknym niebem, w temperaturze, którą lubię. A obok podąża mój kuzyn. Nie rozmawiamy, gdyż wszystko jest oczywiste. Wejście do klimatyzowanego wagonu spowodowało, że znad jeziora Pogorzelec skutego lodem powróciłem do Nowego Jorku. I nastąpiło to w oka mgnieniu.

Szczególnie mocno utkwiło mi w pamięci przebywanie w dwóch światach, gdy kilka tygodni temu szedłem przez Ridgewood na Queensie. Przemierzałem bardzo czyste, nie tylko jak na Nowy Jork, ulice, przy których stały jedno-, dwupiętrowe domy. Przed wieloma spośród nich znajdowały się niewielkie ogródki. Rosło tam też wiele drzew. Może właśnie te drzewa sprawiły, że w myślach znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Nie, raczej nie one; na Ridgewood jest bardzo wiele klonów. Natomiast tam, gdzie przeniosłem się duszą, zdecydowanie dominują sosny i świerki, zaś klony są nieliczne.

Gremzdówka, fot. D. Pawlicki.

Przestałem odczuwać twardość asfaltowej nawierzchni pod podeszwami, gdy zszedłem z szosy. Dalej powędrowałem leśną drogą w stronę niewielkiego mostu na Gremzdówce. Ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywał prawie jednolity kobierzec mchów. W miejscach, gdzie dominowały świerki, las wyglądał bajkowo, ale równocześnie tajemniczo. Wkrótce wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przed sobą miałem Gremzdówkę, na której brzegach rosły liczne olchy. A po prawej stronie, spoza drzew i zarośli, przezierał fragment jeziora Miałkiego.

Gdy oparłem się o poręcz mostku, zacząłem wpatrywać się w bystry nurt niewielkiej rzeczki. Za sprawą czystej wody widziałem piaszczyste dno, gęsto upstrzone fragmentami muszli małży i kamieniami rozmaitej wielkości. Raz po raz w polu widzenia pojawiały się ławice drobnych ryb i pojedyncze, polujące na nie okonie. Ale to mogły być też jakieś inne ryby. Nie mogłem im się dokładnie przyjrzeć, gdyż były bardzo ruchliwe. Postaci umieszczonych we wnętrzu niedużej, przeszklonej kapliczki zawieszonej na drzewie, tuż przy moście, nie widziałem wyraźnie. Ale to niewidzenie było spowodowane tym, że ich nie pamiętałem. Na własne oczy widziałem je tylko raz jeden. Ale utkwiła mi w pamięci, mniej więcej, wielkość i kształt brązowej kapliczki. I na jej obserwacji, to moje połączenie z bardzo odległym punktem na Ziemi, urwało się. Doszedłem bowiem do Fresh Poind Road. A panujący tam ruch, na chodnikach i jezdni, wymusił uwagę.

1 sierpnia przemierzałem Brooklyn z południowego-wschodu na północny-zachód. Dzień był gorący – około 34° C w cieniu, ale, na szczęście, wilgotność jak na Nowy Jork latem, była niewielka – 40%. Wysoką temperaturę odczuwało się szczególnie na rozległych, wybetonowanych placach, na które nie rzucały cienia drzewa ani ściany domów. Niewielu napotykałem ludzi, szedłem bowiem przez tereny zajęte przez liczne hurtownie, magazyny, niewielkie fabryki. I zupełnie niespodziewanie, jakiś szczegół dostrzeżony na trasie bądź jakaś myśl, która przemknęła mi wtedy przez głowę, sprawiła, że przeniosłem się w wiadome miejsce. Ale tym razem nie wspominałem tego, co kiedyś się wydarzyło.

Dzień jest chłodny. Kolory liści na drzewach wskazują na początek jesieni. Mam na sobie kurtkę, a pod nią cienki sweter. Jest późne popołudnie i słońce znajduje się już nisko nad Lasem Pogorzelskim. Panuje cisza, jak to na Suwalszczyźnie ma miejsce już na długo przed zmierzchem. Panuje też całkowity bezruch. Ale przede wszystkim jest cicho. Tej ciszy mogę słuchać i słuchać. Takie dźwięki jak chrzęst żwiru pod podeszwami butów, tylko ją podkreślają.

Schodzę z drogi gruntowej prowadzącej z Jeziork do Krasnopola, przechodzę przez łąkę i wdrapuję się na wzgórze. Siadam na grubej gałęzi pod niską sosną pochyloną za sprawą północnego wiatru, który stale tam wieje. On też ustala kierunek fal na

jeziorze Głuchym. Te fale rozbijają się u podnóża wzgórza. Dlatego na wąskiej piaszczystej plaży jest zawsze pas piany, szerszy bądź węższy. Odgłosy monotonnych uderzeń dochodzą do mych uszu. Ale poza tym dźwiękiem istnieje wyłącznie cisza. Ze wzgórza widzę samotne gospodarstwa rozrzucone nad brzegami jeziora. Każde z nich jest częściowo skryte pośród starych drzew i usadowione na niewielkim zniesieniu, w jakie obfituje północna Suwalszczyzna.

Robi się coraz chłodniej i jestem zmuszony zapiąć kurtkę pod samą szyję. Ale na… brooklyńskiej ulicy, jak było, tak i jest skwarnie. Dzisiaj jest jeszcze goręcej. Do tego w powietrzu jest chyba wyłącznie wilgoć. Niestety, ale kilka podjętych przeze mnie prób przeniesienia się nad skute lodem jezioro Wigry, spaliło na panewce. To, co zobaczyłem, prezentowało się niewyraźnie, było bardzo rozmyte. Wyróżniłem w tej swoistej mgle jedynie zarysy obu wież kościelnych i wieży zegarowej na Półwyspie Klasztornym. Aby poczuć ulgę, próbowałem wyobrazić sobie owiewające mnie zimne powietrze. Ale i z tego nic nie wyszło. Zdesperowany, próbowałem pójść na całość i, mimo wszystko, wmówić sobie, iż jest bardzo zimno. Po czym ubrałem się, oczywiście w myślach, w sweter. Szybko jednak go zdjąłem, gdyż poczułem jeszcze wyższą temperaturę. Nie miałem już wątpliwości co do tego, że dziś moja dusza nie wyrwie się z Nowego Jorku. Najwidoczniej wilgoć, gdy jest jej nazbyt dużo w powietrzu, sprawia, że staje się ona za ciężka.